

## Czyżewski Cezary

### Pieśń pożegnalna

Z „Science Fiction”

Tori powolnym ruchem skierował dziób swego myśliwca w stronę lądowiska. Na panelu kontrolnym zamigotała niebieska dioda sygnalizując pochwycenie wiązki naprowadzającej. Włączył autopilota i rozluźnił się. Komputer sprowadzi jego statek bezbłędnie na powierzchnię asteroidu, lepiej i pewniej niż jakikolwiek człowiek.

Patrol kończył się. Jego skrzydłowy, Dagmar Buss, trzymał się nieco z tyłu, po prawej. Przed nimi rósł asteroid - baza 316. eskadry Sił Gwiazdnych Dominium. Na lewo, świecąc ciemnopomarańczowym światłem, wisało słońce tego układu. Czerń kosmosu upstrzona była nielicznymi punktami gwiazd. Większość z nich zasłaniał pas planetoid i chmury pyłu kosmicznego. Oba myśliwce płynnie uniosły dzioby, przechodząc do ostatniej fazy lądowania. Czerwone światła lądowiska były coraz bliżej. Wkrótce Tori mógł rozpoznać pojedyncze sylwetki obsługi naziemnej krzątającej się pomiędzy stojącymi myśliwcami. Nie było ich wiele. Razem z lądującą parą w bazie stacjonowało sześć myśliwców. Zaledwie połowa normalnego stanu eskadry. Kapitan Stobb przynajmniej raz w tygodniu słał raporty do dowództwa układu, za każdym razem wyszczególniając straty i prosząc o uzupełnienia. Na próżno. Niemal zawsze otrzymywał odpowiedzi zawierające lakoniczne informacje o trudnościach w zaopatrzeniu, o ciężkiej sytuacji Sił Zbrojnych i tak dalej. A tymczasem kolejna maszyna nie wracała z misji. Ostatnią stratę zanotowali pięć dni temu. Młody pilot, dopiero co mianowany podporucznikiem Toran Macali, zginął w eksplozji swojego myśliwca podczas potyczki z kluczem orkowych „Agressorów”. Wielu nowicjuszy tak kończyło, to była w końcu wojna. Niemniej na ich miejsce w 316. eskadrze coraz rzadziej przybywali nowi.

Tori poczuł delikatne tąpnięcie, kiedy maszyna dotknęła lądowiska. Wyłączył wszystkie systemy i po chwili schodził po podstawionej przez obsługę drabince.

- I jak? - Usłyszał w słuchawkach helmu niski głos mechanika. Krasnolud już zaczepiał ramię holownika mającego wprowadzić myśliwiec do hangaru na rutynowy przegląd.

- Spokojnie - odparł.

Poczekał chwilę na Dagmara i razem ruszyli w stronę śluzy. Ich wzrok spoczął na stojącym na uboczu smukłym statku, nieco większym od ich maszyn, ale sprawiającym wrażenie lekkiego i zwrotnego, gotowego w każdej chwili zerwać się do lotu. Jego fioletowy kadłub lśnił metalicznie w blasku pobliskiego reflektora. Na burcie widniały dziwaczne złote znaki układające się w rodzaj napisu. Na obu statecznikach, wygiętych lekko na zewnątrz, błyszczały złote smoki pikujące w dół. Maszyna nie miała kół, lecz. płozy.

- Piękny, nie? - mruknął Dagmar wiedząc doskonale, że jego towarzysz myśli o tym samym.

- Chciałbym nim kiedyś polecieć... - odparł rozmarzonym głosem Tori.

- Bez szans - uśmiechnął się Buss.

- Wiem. Aeleandril nigdy się na to nie zgodzi. Zresztą mówił mi, że „Smok” jest dostrojony do jego umysłu. Nikt poza nim nie jest w stanie uruchomić jakiegokolwiek systemu.

- Elfia technika jest niesamowita. Tym większa szkoda, że nie chcą się włączyć do wojny. Mam wrażenie, że nie przepadają za ludźmi. - Dagmar podszedł do śluzy i uniosł dłoń ku panelowi otwierającemu. Chwilę potem byli już w środku. Czarno-żółte drzwi zasunęły się z sykiem. Z otworów tuż pod sufitem zaczęło wlatywać powietrze. Obaj piloci czuli rosnący nacisk na skafandry. Kiedy czerwona lampka zgasła, ustępując jasnemu światłu jarzeniówek, zdjęli helmy.

- Dziwisz się? - Tori otworzył drzwi prowadzące do wnętrza kompleksu. - Po tym, jak wygnaliśmy ich z Naszego Świata, mieliby nas lubić?

- Tor! To było tysiąc dwieście lat temu! - sapnął w odpowiedzi Dagmar. - Szmat czasu!

- Dla elfów być może nie. Pamiętaj, że oni są inni...

- Właśnie. Inni. O! Idzie stary.

W stronę pilotów zbliżał się dowódca bazy, kapitan Hogan Stobb. Ubrany był w srebrnoszary kombinezon. Tori wyprężył się i zameldował:

- Żyjemy, kapitanie.

Oficer uściśnął im dłonie. Dawno już porzucili regulaminowy sposób składania meldunków. Przestrzegali go jedynie w przypadku wizyt kogoś spoza jednostki lub przy specjalnych okazjach.

- To dobrze - odparł. - Jak tam zieloni?

- Cicho. W całym sektorze. Kopalnie pracują normalnie, wszystkie detektory sprawne.

- Przynajmniej dzisiaj spokój. Pozostałe patrole meldowały to samo. - Stobb skinął głową. - Przebierzcie się, chłopaki, i bądźcie o szóstej w kantine. Mamy dwie sałaty. Mieszane towarzystwo...

Na twarzy kapitana zagościł lekki uśmiech. Obaj piloci pokiwali ze zrozumieniem głowami.

- Ładna chociaż? - zapytał Dagmar.

Sam ocenisz. - Kapitan już ruszał w stronę jednej z wind.

\* \* \* \* \*

Kantina miała kształt półkuli. Sklepienie ze wzmocnianego szkła pozwalało podziwiać cały nieboskłon, jednakże teraz skryte było pod pancerną skorupą, chroniącą przed ewentualnym atakiem. W środku stało kilka stolików, znajdował się tam również bar, nad którym unosił się obraz z holowizora. Na kontuarze stało dziesięć identycznych plastikowych talerzy z syntetyczną pianą białkową. Obok baru wisiał ciekłokrystaliczny ekran z wyszczególnionymi imionami i nazwiskami pilotów eskadry i liczbą odniesionych przez nich zwycięstw. Między niektórymi nazwiskami były puste odstępy, miejsca po tych, którzy nie wrócili z misji. Obecnie na tablicy było siedem nazwisk, sześć pisanych powszechnym alfabetem i jedno zawitym elfim ornamentem.

W kantine był już kapitan i dwóch pilotów z drugiego klucza. Przy osobnym stoliku, z dala od ludzi siedział jasnowłosy elf, samotnie sączący bezbarwnego drinka. Jego duże ciemnozielone oczy wpatrywały się melancholijnie w stożkowaty kielich.

Tori wszedł do lokalu. Za nim wpadło czterech mechaników: jeden człowiek i trzech krasnoludów. Z radosnym śmiechem zamówili drinki i rozsiadli się przy najbliższym stoliku. Tori minął ich i przysiadł się do dowódcy eskadry i pilotów.

- Interesują cię najnowsze wieści ze świata? - Stobb nonszalancko podsunął mu elektroniczny notatnik.

- Jak zwykle zwyciężamy na wszystkich frontach, morale armii jest wysokie, a wróg goni resztkami sił.

-Tori od niechcienia ujął w dłoń podsunięty mu przedmiot.

- Jak zwykle - przytaknął kapitan i wziął następnego drinka.

Tori przeglądał serwis. Dokładnie taka sama papka informacyjna, jak co tydzień. Odłożył notes.

- A jak jest naprawdę?- zapytał dowódcę.

Kapitan spojrzał na pilota znad szklanki.

- Do produkcji weszła nowa wersja M-31. Ma mieć oznaczenie D.

- Jasne. A my tymczasem wciąż latamy na dwudziestkach piątkach. - Tori nerwowym gestem strzelił palcami.

- Dziwisz się? Jesteśmy z dala od strategicznych układów. Chronimy te kilka kopalni, podobnie jak inne eskadry w tym systemie. To nie jest linia frontu. - Kapitan wzruszył ramionami.

- Ale i u nas pojawiają się zieloni. W ciągu miesiąca zginęło trzech pilotów. - Tori spojrzał przelotnie na tablicę koło baru. - To nie jest wojna?

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. - Stobb nie był w nastroju do dyskusji. - Doskonale wiem, co się tu dzieje. Wiem też, że nic na to nie poradzimy.

Przez chwilę w milczeniu popijali drinki. W końcu Tori się odezwał:

- Wiadomo coś o tych nowych myśliwcach?

- To co zwykle. Szybsze, zwrotniejsze, lepiej uzbrojone i o większym zasięgu - parsknął Bogis, jeden z pilotów. - Jak wszystkie ostatnie wersje.

Do kantyny weszły jeszcze dwie osoby. Obie miały nowiutkie, nieprzetarte na łokciach i kolanach kombinezony i baretki pilotów na piersiach. Niepewnym wzrokiem lustrowali pomieszczenie. Mężczyzna, a w zasadzie jeszcze chłopak miał kędzierzawe czarne włosy i ciemną karnację, dziewczyna zaś - niższa od niego o pół głowy - krótką rudą fryzurkę, zrobioną „na mokro”. Zielony makijaż podkreślał kolor jej oczu.

- Makijaż nie jest wskazany we flocie, sierżancie Quoki. - Stobb próbował się uśmiechnąć.

- Może się rozmazać przy większych przeciążeniach podczas lotu - dodał Tori i cała kantina wybuchnęła śmiechem. Żarty z nowych pilotów były rzeczą normalną, śmiali się nawet mechanicy.

- Będę o tym pamiętać, panie kapitanie - odparła Quoki tylko trochę speszona i wraz z towarzyszem siedła przy wolnym stoliku.

Kantyna powoli zapełniała się personelem bazy. Pojawiła się większość mechaników i sekcja medyczna. Był również kapelan bazy, ojciec Gottraf. Z pilotów brakowało jedynie Dagmara. Grupki siedzące przy stolikach rozmawiały półgłosem, gdzieś spod sklepienia sączyła się wesoła, beztraska muzyka. Ludzie cieszyli się z kolejnego spokojnego dnia służby. Niewiele mieli ich ostatnio. Ataki orków nasiliły się, kilka razy piloci eskadry starli się nawet z jeszcze groźniejszym przeciwnikiem - upadłymi. Nikt dokładnie nie wiedział, kim byli, a ich monstrualne okręty pojawiały się znikąd siejąc zniszczenie i chaos. Ich armie opadały wprost z nieba na planety Dominium, w krótkim czasie zamieniając kwitnące światy w pola bitew. Tylko z największym wysiłkiem i dzięki znaczącej przewadze liczebnej udawało się dotąd odpierać ich ataki. Nie wątpiono jednak, że od pojawienia się nowego przeciwnika wojna przybrała zły obrót dla Dominium. Tym bardziej, że elfy - odnalezione po dwunastu stuleciach na krańcach galaktyki - zachowywały się powściągliwie, żeby nie powiedzieć nieufnie w stosunku do rodzaju ludzkiego uwikłanego w coraz bardziej beznadziejny konflikt.

Dziwił więc fakt obecności w bazie pojedynczego aetiree, elfiego pilota-wojownika. Aeleaniril pojawił się ponad miesiąc temu. Dał się poznać jako doświadczony pilot kilkakrotnie uczestnicząc w poważniejszych starciach 316. eskadry z orczymi statkami. Jego myśliwiec „Smok”, mimo że niemal półtora raza większy niż M-25, przewyższał je zwrotnością i szybkością. Początkowa nieufność ludzi ustąpiła miejsca uprzejmej tolerancji, a w niektórych przypadkach nawet lekkiej sympatii. Tym bardziej, że elf starał się być miły dla każdego, z kim się spotykał. Kapitan Stobb cały czas wahał się, czy zgłosić obecność aetiree dowództwu. Obawiał się, że kwatera główna układu nie zaakceptuje elfa. Jak na razie względy praktyczne przeważały nad regulaminem; Aeleaniril stał się nieformalnym członkiem eskadry.

Jednakże nie wszyscy zaakceptowali elfa. Toress, skrzydłowy Bogisa, ilekroć go widział, zawsze okazywał mu niechęć. Niejednokrotnie w rozmowach z członkami eskadry dawał do zrozumienia, że elfy, podobnie zresztą jak krasnoludy i inne rasy, nie zasługują na szacunek. Więcej, są godne pogardy. Jako jedyny pilot nie zgodził się, by jego mechanikami były gnomy lub krasnoludy. Kilka razy zaczepiał elfa w nieuprzejmy sposób, ale ten ustępował. Nawet rozmowa w cztery oczy Stobba z Toressem nie przyniosła rezultatów. Pilot pozostał niechętny każdemu, kto nie był człowiekiem. Tori tłumaczył to sobie na własny sposób. Obaj pochodzili z Balariosa, jednego z pierwszych światów skolonizowanych przez ludzkość. Toress wywodził się ze szlacheckiej rodziny z tradycjami i to jego duma i poczucie wyższości sprawiały, że nie mógł znieść nie tylko osób innych ras, ale nawet ludzi niższych stanem. Ludzie pokroju Dagmara określali Toressa krótko i dosadnie: nadęta arystokratyczna świnią.

W kantynie pojawił się Dagmar odziany w swój wyjściowy mundur, przyciągając wzrok zebranych.

- Dag, nie przegiąłeś? To nie defilada! - Tori domyślał się powodu, dla którego jego skrzydłowy ubrał się tak oficjalnie. Zawsze lubił robić wrażenie na kobietach. Teraz liczył na podobny efekt.

- W końcu nie co dzień witamy w eskadrze nowych pilotów - odrzekł Dagmar i skinął na barmana. - To co? Zaczynamy?

Odpowiedział mu aplauz zebranych. Pośrodku sali ustawiono dwa stoliki. Kapitan Stobb poprosił o ciszę i zwrócił się do dwójki nowo przybyłych pilotów.

- W naszej 316. eskadrze Sił Gwiazdnych Dominium mamy zwyczaj, że każdy nowy członek naszej... rodziny... tak, to dobre słowo... poddawany jest specjalnej próbie. Koledzy mechanicy mają swój sprawdzian, łącznościowcy swój, no i my, piloci mamy swoją próbę.

Stobb zrobił przerwę. Jak zwykle przy takich okazjach napięcie powoli rosnęło. Nowi spoglądali to na siebie, to na pozostałych zebranych.

- Każdy, kto zasiada za sterami myśliwca, musi wykazać się refleksem i czasem niemalże szóstym zmysłem, żeby uniknąć śmiertelnego niebezpieczeństwa. Dzisiaj sprawdzimy wasze umiejętności. Staniecie z zawiązanymi oczyma na tych stołach, a pozostali piloci przeprowadzą na was atak tymi oto - tu Stobb wskazał ramieniem na spoczywające na barze talerze z pianą- pociskami.

Wśród radosnych okrzyków dwójka nowicjuszy została podprowadzona do stolików. Wyciągnięto skądś hełmy z zasłoniętymi przyłbicami i nałożono im na głowy. Członkowie eskadry po kolei brali do rąk „pociski”. Kiedy Quoki i jej towarzysz wchodzili na stoły, przez gwar przebił się podniesiony głos Toressa.

- Hej, hej! Chcę coś powiedzieć! - W kilka sekund zapanowała cisza. - O ile się nie mylę, to w zabawie biorą udział tylko piloci eskadry, prawda?

Wymownie spojrzął na Aeleanirila, który zachęcony przez Dagmara także sięgnął po talerz.

- Toress, ocipiałeś? - wykrzyknął Bogis. Wszyscy z zażenowaniem obserwowali rozwój sytuacji. Kapitan zareagował błyskawicznie.

- Poruczniku Toress, nie wydaje mi się, aby pańską postawę wobec naszego gościa można było nazwać uprzejmą. Przywołuję pana do porządku!

Toress chciał coś powiedzieć, ale elf był szybszy.

- Oczywiście, poruczniku. To jest wasza zabawa, ma pan rację. - Odłożył pianę z powrotem na kontuar i kłaniając się lekko Stobbowi, ruszył ku drzwiom. W całkowitej ciszy opuścił kantinę. Dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi, rozległy się pierwsze szepty. Dagmar nie wytrzymał.

- Toress, jesteś głupią szlachecką kanalią! - wrzasnął przyskając na tamtego kropelkami śliny. Toriemu również puściły nerwy. Bez słowa zbliżył się do Toressa i jednym szybkim ruchem wcisnął mu talerz z pianą prosto w twarz. Chciał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką. W tym momencie hologram nad barem zamrugał i z głośników rozległ się głos:

- Pilna wiadomość na paśmie kodowanym dla kapitana Stobba! Powtarzam...

Dowódca eskadry rzucił się do terminalu łącznościowego tuż obok drzwi. Przez chwilę wstukiwiał kody identyfikacyjne. Potem znieruchomiał, czytając wiadomość. Wszyscy zebrani obserwowali go w milczeniu. Wreszcie odwrócił się od terminala. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

- Jedenaście godzin temu - powiedział powoli, ważąc każde słowo - straciliśmy dwa układy, L'onw i Monorię. Teraz my jesteśmy na linii frontu.

\* \* \* \* \*

- Ogłaszam pierwszy stopień gotowości, do momentu przybycia wsparcia - mówił Stobb kwadrans później, na odprawie dla całego personelu bazy. - Jedna para non stop na patrolu, pozostali piloci gotowi do natychmiastowego startu. Nasz układ nie ma co prawda żadnej planety, ale te dwadzieścia kopalń w pasie asteroidów ma swoją wartość. Musimy je ochraniać, dopóki nie przybędą posiłki.

- Na co możemy liczyć? - odezwał się Dagmar.

- Nie wiem, nie otrzymałem żadnych konkretnych informacji. Mam nadzieję, że będzie to dziesięć regimentów pancernych i przynajmniej trzysta myśliwców, ale pewnie nie dostaniemy aż tylu.

Szmer lekkiego rozbawienia przeszedł po sali, ale był to raczej wisielczy humor.

- Pierwsza para to Toress i Bogis, resztę wyznaczę po odprawie. Zmiana patroli co dwie godziny. To wszystko, do zadań.

Salę wypełnił hałas opuszczających odprawę. Tori odczekał chwilę, aż kapitan zakończy rozmowę z Aeleanrilem, i złapał elfa przy drzwiach.

- Mam nadzieję, że nie wzięłeś sobie do serca tego, co zaszło w kantine - rzekł idąc z nim ramię w ramię.

- Oczywiście, że nie - odparł aetiree w swoim śpiewnym języku. Wiszący na jego piersi translator przetłumaczył to natychmiast. - Gdybym przejmował się każdym takim zdarzeniem, moje serce pełne byłoby smutku i zmartwienia.

- Aż tak źle? - Toriemu zrobiło się nagle głupio. Pomyślał, ile podobnych sytuacji przydarzyło się elfowi w ciągu całego jego pobytu w bazie.

- Na szczęście nie - roześmiał się Aeleanril. - Życie składa się z chwil radosnych i smutnych. Sztuką jest dostrzegać je wszystkie. Te pierwsze dają nam siłę, te drugie zaś doświadczenie na przyszłość.

- Mimo to wstyd mi za Toressa. Wiem, że czepia się ciebie przy każdej okazji. Ale on nie lubi każdego, kto nie jest człowiekiem.

- Niepotrzebnie się za niego wstydzisz. - Elf przepuścił Toriego przez drzwi ciśnieniowe. Znaleźli się w sekcji mieszkalnej. - Każdy odpowiada tylko za siebie, nie za innych. Rozumiem jego niechęć i dlatego staram się schodzić mu z drogi.

- Podziwiam cię. Zawsze jesteś taki spokojny i zrównoważony...

- To niezupełnie tak. - Aeleanril stanął przed wejściem do swej sypialni. Na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. - Wejdiesz?

- Skoro zapraszasz... Ale najpierw skoczę przebrać się w skafander.

Jak chcesz - zgodził się elf i wszedł do pokoju.

\* \* \* \* \*

Siedzieli przy małym stoliku. Tori w pomarańczowym skafandrze próżniowym, Aeleanril w swym kombinezonie. Jego matowa czerń kontrastowała ze złotem elfich włosów, związanych z tyłu w koński ogon. Hełmy obu pilotów spoczywały na łóżku. Kulisty, biały z czarnym napisem TORI nad przyłbicą i szarograciowy, wydłużony tak, by zasłaniał całą twarz.

- Dziwi mnie to, że tak beztrzesko opowiadasz o sobie i swoim sprzecz. - Tori oglądał osobistą broń aetiree: smukły miecz wykonany z niezwykle lekkiej substancji, w niewielkim stopniu przypominającej stal lub jakikolwiek inny stop.

- Nie widzę powodu, by robić z tego tajemnicę. -Aeleandril uważnie patrzył na Toriego. - Wszystkie sekrety i tak pozostaną niezrozumiałe dla kogoś, kto nie jest elfem. Nasza technika opiera się na zupełnie innych założeniach niż wasza. Ma to związek z filozofią życia i z siłami rządzącymi wszechświatem, które...

- ...są nam obce? - Tori zwrócił miecz właścicielowi.

- ...są przez was zapomniane - dokończył elf. Położył broń na łóżku. - Poza tym... jak długo żyją ludzie?

- Średnio około stu lat, o ile nie zdarzy się coś nieprzewidzianego...

- No właśnie. Wasze życie jest za krótkie, aby poznać i zrozumieć wiele rzeczy. Jesteście zbyt gorączkowi, chcecie dużo i szybko, gwałtownie domagacie się wszystkiego nie zastanawiając się nawet, jaka jest prawdziwa natura świata. - Elf mówił normalnym tonem, jakby opowiadał wczorajszej kolacji. Tori miał niejasne wrażenie, że te słowa powinny być dla niego obraźliwe, jednakże takie nie były. Aeleandril zdawał się mówić to, co czuł. - Jesteście jak dzieci, które znalazły się w pokoju pełnym zabawek i chcą dotknąć każdej z nich, nieważne, czy przyda się ona czy nie. Moglibyście przynajmniej w części osiągnąć to, czym dysponują elfy, gdybyście byli inni. Ogrom nieznanego wam wiedzy jest taki, że nie muszę się obawiać, iż odkryjecie na przykład tajemnicę wyrobu tego miecza - zakończył z miłym uśmiechem.

Tori przyjrzał się gospodarzowi. Elf był piękny. Delikatne rysy twarzy w połączeniu z kształtem i kolorem oczu tworzyły niemal doskonałą całość. Pilot nie czuł żadnego pociągu erotycznego do Aeleandrila, poczucie piękna dotyczyło zupełnie innej sfery. Był jednak pewien, że gdyby aetiree miał siostrę bliźniaczkę, zakochałby się w niej bez pamięci. Obce piękno elfów było zniewalające.

- Ile masz lat? - zapytał, by przerwać milczenie.

- Sto trzydzieści sześć. Jestem wciąż młodym elfem.

- Dlaczego tu jesteś? Nie tęsknisz do swoich?

Tym razem Tori długo czekał na jakąkolwiek odpowiedź. Aeleandril siedział w milczeniu przez jakiś czas, wpatrując się w przeciwległy kąt pokoju.

- Jeśli tęsknota jest pragnieniem bycia z kimś razem, to tak. Tęsknię...

Tori zdał sobie sprawę, że dotknął czulej struny w duszy elfa. Po raz kolejny poczuł się głupio.

- Nie mogę jednak wrócić. Nie po tym, co się wydarzyło.

- Jesteś, wygnańcem?

- Z własnego wyboru. Dobrowolnie opuściłem mój lud. - Aeleandril ponownie zapadł w milczenie. Tori bojąc się je przerwać, siedział cicho. Znow elf przemówił pierwszy:

- Wierzyście w życie po śmierci, prawda?

- Tak.

- I w sąd po śmierci?

- No... Część z nas wierzy, inni nie. To zależy od świata, z którego pochodzimy.

- My również wierzymy, że śmierć nie jest końcem drogi. Odradzamy się w nowym wcieleniu. W zależności od tego, jak postępowaaliśmy w naszym życiu, możemy stać się istotą doskonalszą lub nie.

- Na przykład człowiekiem? - zapytał zjadliwie Tori i natychmiast tego pożałował.

- Ty to powiedziałeś - odparł elf. - Tu nie chodzi o doskonałość cielesną, lecz duchową. Bycie dobrym, życie w harmonii z wszechświatem pozwala nam odkryć w sobie moc. Niektórzy z nas wierzą, że nagrodą za szlachetne życie może być nawet odrodzenie się pod postacią gwiazdy.

- Yhy? - Tori niemal się zakrztusił z wrażenia.

- Bawi cię to, prawda? - W oczach Aeleandrila pojawił się smutek.

- Nie, dlaczego? Zaskoczyło mnie tylko...

Dobrze, wierzę ci. Otóż zdarzyło mi się w życiu dokonać czegoś zupełnie szlachetnego... Nie było to żadne morderstwo ani zdrada, nic co wy, ludzie, nazwalibyście zbrodnią lub złem. Moi bliscy też tak uważali, ale dla mnie było to coś wysoce niewłaściwego. Na tyle, że obawiałem się o przyszłość mojej duszy...

- I wyruszyłeś w świat odpokutować winę...

- Jeśli tak chcesz to nazwać... Uznałem, że poświęcając resztę życia jakiejś sprawie, przynajmniej w części usunę skazę, jaka mnie dotknęła.

- I co? Znalazłeś sprawę godną tego poświęcenia?

- Jeszcze nie. Wciąż szukam...

- W tej zapadłej dziurze?

Dalszą rozmowę przerwało szczeknięcie interkomu. Metaliczny głos oznajmił nie znośnym sprzeciwu tonem:

- PILOCI: TORI HANAN, DAGMAR BUSS, QUOKI NATEVAL I TOD BREA DO MASZYN!

POWTARZAM: PILOCI..

- Zaczęło się - sapnął Tori podnosząc się z miejsca. Chwycił swój hełm i stanął w drzwiach.

- Pomyślnych łowów, pilocie - doszło go zza pleców. Odwrócił się.

- Dzięki. - Nacisnął przycisk otwierający drzwi. Zatrzymał się jeszcze w progu. Elf wstał, by go pożegnać. Na jego twarzy błędził delikatny, pełen życzliwości uśmiech.

- Powiedz mi, Aeleandrilu... - Tori podrapał się w nos, nieco zakłopotany. - Czy ty chcesz...

- Odrodzić się jako gwiazda? Oczywiście. Każdy elf o tym marzy.

\* \* \* \* \*

Myśliwce poderwały się z płyty lądowiska, formując dwie pary. Piloci usłyszeli w słuchawkach głos dowódcy bazy:

- Trzy orkowe „Rekiny” atakują kopalnię Toros. Górnicy ostrzeliwują się, ale sami nie dadzą rady. Zajmijcie się nimi i wracajcie jak najszybciej. Tori, dowodzisz kluczem.

- Tak jest! - rzucił do mikrofonu pilot.

- Dane nawigacyjne macie już w komputerach. Powodzenia!

Cztery myśliwce przyśpieszyły i weszły na kurs. Po prawej mieli wielką kulę słońca, przysłanianą od czasu do czasu pojedynczymi asteroidami. Tori przełączył radio i odezwał się:

- Dagmar, weźmiesz Quoki na skrzydłową. Tod, będziesz mnie osłaniał. „Rekiny” nie są zbyt szybkie ani zwrotne, ale mają niezły pancierz i działko na rufie. Atakujemy raketami z dystansu i dopiero w ostateczności wchodzimy w bezpośrednią walkę.

- Przyjęłam, dowódczo.

- Tak jest.

- Masz to u mnie, Tori...

- I jeszcze jedno, młodzi. To jest pas asteroidów, uważajcie na małe odłamki skalne dookoła. Mniejsze weźmie na siebie pole ochronne, ale duże mogą zrobić wam kuku.

Statki oddaliły się nieco od siebie i nabrały prędkości. Tori spojrzął na ekran komputera nawigacyjnego. Przy tej prędkości powinni dotrzeć nad Toros za około godzinę. To trochę zbyt długo, orki mogły przez ten czas narobić dużo szkód i uciec bezkarnie. Pilot zastanowił się przez moment nad innym rozwiązaniem. Mogliby wykonać skok podprzestrzenny, ale w tym układzie istniało poważne ryzyko wylądowania na jakimś asteroidzie. Mimo wszystko Tori gotów był zaryzykować.

- Dag, będziemy tam za godzinę. To trochę długo...

- Chcesz skakać?

- Ano...

- Do rozmowy włączyła się Quoki:

- Jeśli można, dowódczo... Instrukcje pilotażu wyraźnie odradzają skoki podprzestrzenne w pasach asteroidów.

- Wiem - odparł Tori. A Dagmar dodał:

- Kobieto, gdybyśmy zawsze stosowali się do zaleceń regulaminów, już dawno bylibyśmy martwi. To jak, Tori? Rzykujemy?

- Dajcie mi pomyśleć. - Dowódca klucza postukał w klawiaturę na panelu nad głową. Na ekranie pojawiły się szeregi danych. - Toros jest na skraju pasa. Będzie tak przez najbliższe kilka godzin. Jeżeli skoczmy tuż za jego granicą, będziemy mieli tylko kwadrans do celu.

- Jak dla mnie, spoko.

- Nie podoba mi się to, panie poruczniku - odezwał się po raz pierwszy Tod, kędzierzawy towarzysz Quoki. - Czy warto się narażać?

- Warto, chłopie, warto. Tam mogą ginąć ludzie. Każda minuta jest droga.

Przez chwilę w eterze panowała cisza. Przerwał ją Dagmar.

- Możemy teraz wyjść z pasa. To dodatkowo zmniejszy ryzyko...

- Dobra myśl - zgodził się Tori. - Poprawka na obecny kurs: sześćdziesiąt pięć na piętnaście.

Wprowadził dane do komputera. Myśliwiec szarpnął lekko kierując się wprost ku słońcu. Pozostałe maszyny zrobiły to samo z kilkusekundowym opóźnieniem. Lecieli lekkimi zakosami, unikając co

większych okruchów dryfujących w próżni. Okna kabin zaciemniły się automatycznie, chroniąc oczy pilotów przed zbyt jaskrawym blaskiem gwiazdy.

- Poruczniku... - odezwał się Tod.

- Który? - odpowiedzieli jednocześnie Tori i Dagmar. Quoki parsknęła śmiechem.

- W sumie obojętnie. Czy ten układ ma jakąś nazwę?

- Nie. Tylko oznaczenie kodowe. G3X0. Chyba. - Tori rzucił okiem na skaner najbliższej przestrzeni. - Za minutę wychodzimy z pasa. Wrócimy na poprzedni kurs i skaczymy. Zaraz podam wam koordynaty.

Zaczął wystukiwać potrzebne komendy na klawiaturze nad głową. Komputer nawigacyjny błysnął dziesiątkami liczb, by po dłuższej chwili wyświetlić wynik.

- Przygotujcie się do transmisji danych. Potwierdzajcie gotowość.

Cztery myśliwce minęły ostatnie większe asteroidy, wyskakując w czystą przestrzeń.

- Gotów.

- Gotowa.

- Dawaj te dane.

Tori uruchomił transfer. Po kilku sekundach wszyscy potwierdzili koniec transmisji. Piloci położyli maszyny na poprzedni kurs.

- Skaczymy. Uwaga... Trzy... dwa... jeden...

Na ułamek sekundy czerń kosmosu przed dziobami myśliwców zafalowała. Cztery maszyny runęły w wygenerowane przez siebie pole podgrawitacyjne, znikając jedna po drugiej. Kilkadziesiąt tysięcy kilometrów dalej wyprysnęły z pustki. Skok nie zajął więcej czasu niż mrugnięcie okiem.

- Meldować o stanie maszyn! - rzucił Tori, jednocześnie przebiegając wzrokiem po wskaźnikach awarii. Wszystkie milczały. Myśliwiec wyszedł ze skoku bez szwanku. Jak się okazało, pozostałe jednostki również.

- No i po bólu - odezwał się Dagmar.

- Kurs na Toros, cisza radiowa aż do wejścia w zasięg rakiet! - zarządził Tori.

Popędzili z powrotem ku pasowi asteroidów. Rozluźnili szyk i zwolnili, by łatwiej manewrować. Komputery wyświetlały odległość i czas do celu. Minuty upływały w całkowitym milczeniu. Piloci słyszeli tylko stłumiony szum silników, korygujących kierunek lotu. Po niecałym kwadransie na skanerach wszystkich czterech myśliwców pojawiły się czerwone migające punkty na tle większej szarej plamy. „Rekiny” krążyły nad kopalnią, raz po raz atakując cel. Tori włączył system uzbrojenia. Na przedniej szybie błysnął celownik i kilka cyfr.

Asteroid Toros, słabo oświetlony światłem słońca, rósł w oczach. Rakiety namierzyły wrogie statki. Piloci usłyszeli w słuchawkach trzy sekundowe piknięcia. Dystans zmniejszał się błyskawicznie. Orki chyba dopiero teraz dostrzegły zagrożenie. Rozproszyły się. Pierwszy nie wytrzymał Tod. Jasna smuga rozprężających się gazów znaczyła tor lotu rakiety. Dalsza zwłoka nie miała sensu. Ku „Rekinom” pomknęły następne pociski.

- Rozdzielamy się! Skrzydłowi, trzymać się prowadzących! - Tori zwolnił do prędkości manewrowej. Dostrzegł pomarańczowy błysk, gdzieś przed dziobem myśliwca. Pierwsza rakietka Toda chybiła, orkowa maszyna wykonała udany unik. Ale następne dwie rakietki dosięgły ją zaledwie parę sekund później. Czwarta wpadła w eksplodującego już „Rekina”, tylko powiększając kulę ognia, która po chwili zniknęła.

- Dag, bierz tego bliższego! - Tori zszedł tuż nad powierzchnię planetoidy. Jego skrzydłowy uczynił to samo, trzymając się dwie długości maszyny z tyłu. Oba namierzyli kolejny cel. „Rekin” usiłował skryć się za asteroidem, ale M-25 były o wiele szybsze. Wkrótce myśliwce siedziały mu na ogonie.

- Tod, wal. Jest twój - rzucił Tori do mikrofonu.

- Dzięki, poruczniku. - Dwie rakietki pomknęły do celu. Po dwóch sekundach rozerwały rufę „Rekina”. Ork runął na powierzchnię Torosa, wybuchając tuż za niewielkim kraterem. Oba myśliwce minęły tłące się resztki statku i uniosły się w ciasnej pętli.

- To nie było trudne - odezwał się Tod. W jego głosie wyczuwało się radość ze zwycięstwa.

- To był tylko „Rekin”. Bardziej maszyna szturmowa niż myśliwiec. Dobrze, że wystrzeleliście dwie rakietki. Czasem zdarza się, że jedna nie wystarczy - pochwalił go Tori.

- Przypadek - odparł skrzydłowy. - Za długo trzymałem przycisk i odpaliły obie.

- Jak widzisz, skutecznie. Lecimy pomóc naszym.

Zawrócili. Po kilku chwilach dostrzegli trzy jasne punkciki manewrujące tuż nad powierzchnią planetoidy. Co chwilę między nimi błyskały kolorowe smugi serii z działek. Kiedy podlecieli bliżej, zauważyli, że strzelała jedynie Quoki. Dagmar ciasnymi unikami schodził jedynie z linii strzału orka. Zielonoskórzy nie oszczędzali amunicji, waląc długimi seriami z obu działek.

- Dag, kończ zabawę, bo cię jeszcze trafi - mruknął Tori, niezadowolony z brawury towarzysza.

- Quoki, kotku, postaraj się go wreszcie trafić - usłyszał w odpowiedzi.

- Ale on mi ciągle schodzi z celownika... Och, kurde, spierdalaj, sukinsynu! - Dziewczyna nie wytrzymała i odpaliła dwie rakiety. Niestety, była za blisko. „Rekin” dosłownie o metry otarł się o pociski, które zgubiły cel i pomknęły w kosmos.

- Nie mam już rakiet! Dag, co robić? - Quoki na moment straciła głowę. W tej samej niemal chwili dosięgnęła ją seria z rufowego działka „Rekina”. Kadłub M-25 zaiskrzył i zaczął wypuszczać siwą wstążkę dymu.

- Tori zareagował błyskawicznie.

- Bierzemy go, Tod. Dagmar, osłaniaj dziewczynę! Przyspieszył, jednocześnie namierzając uciekający teraz statek orków. Raz za razem odpalił dwie rakiety. Nad jego głową pojawiła się smuga pocisku Toda. W słuchawkach usłyszał głos Quoki, przedzierający się poprzez trzaski.

- Nic mi nie jest! Kabina trzyma atmosferę, ale mam uszkodzoną elektronikę i chyba stery.

- Chyba? - zapytał Tori, wciąż mając orka na celowniku, gotów wystrzelić ostatnią raketę, gdyby poprzednie chybiły. Ale nie było takiej potrzeby. „Rekin” zmienił się w kulę ognia, gasnącą błyskawicznie.

- Mam trudności z utrzymaniem równego lotu... - Głos Quoki stał się zniekształcony. - O, cholera, siadł komputer nawigacyjny... Silniki tracą moc...

Łąduj, kobieto! Tylko się nie rozbij! - Tori wprowadził myśliwiec w zakręt. Dostrzegł maszynę Quoki, zwalniającą i tracącą wysokość. Z dziury w kadłubie tryskały snopy iskier. Dziewczyna twardo uderzyła w powierzchnię asteroidu. Wyglądało to niemal jak kraksa. Pozostali dwaj piloci dołączyli do krążącego dowódcy.

Tori przez chwilę myślał, że nie udało jej się przeżyć. Przygryzł wargę, oczekując eksplozji myśliwca. Podniecenie walką minęło i teraz czuł pulsowanie krwi w skroniach. Próbował uspokoić oddech, ale nie bardzo mu się udawało.

- Quoki... - rzucił przez zaciśnięte gardło. Odpowiedziała mu cisza. Po raz pierwszy dowodził samodzielną misją. Zaczynał czuć ciężar odpowiedzialności za pozostałych. Krążąc nad uszkodzonym myśliwcem, wpatrywał się w jegoabinę. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł chmurki powietrza uchodzącego przez szczeliny przy owiewce. Kabina otworzyła się powoli. Wygramoliła się z niej postać w białym hełmie i pomarańczowym skafandrze. Na plecach miała dwie niewielkie butle ze sprężonym powietrzem. Oparła się o kadłub i pomachała krążącym nad nią maszynom.

- Żyje. To najważniejsze. - Głos Dagmara był pełen ulgi.

- Złap kopalnię i opisz im, co się stało. Niech wyślą kogoś po nią. Jest za daleko, żeby dotrzeć na własnych nogach. Ma tlenu na dwie godziny. - Tori zakotłosał maszyną kilka razy i wyrównał lot.

- Przyjąłem - mruknął Dagmar i wyłączył się. Trzy myśliwce pomknęły w stronę kopalni. Po minucie lotu dostrzegli jej zabudowania, wieżę z anteną dalekiego zasięgu, kompleks mieszkalny, lądowisko dla transportowców i stanowiska dla koparek. W słuchawkach zabrzmiał głos Dagmara.

- Przyjęli. Już kogoś wysyłają. I dziękują za pomoc, orki trochę ich poszarpały, mają kilku rannych, ale nikt nie zginął.

- Dobra. Spadamy do domu. - Tori poderwał maszynę w stronę słońca, sukcesywnie przyspieszając. Kilka minut później stracili Toros z radarów.

- To moja wina. - Dagmar odezwał się cicho. - Miałeś rację, trzeba było załatwić ich szybciej.

- Trzeba było. Na przyszłość stosuj się dokładnie do poleceń. - Tori był zły na przyjaciela. Potraktował walkę jak radosną zabawę, kusząc los. No i stało się. Mieli dużo szczęścia, że dziewczyna przeżyła, choć pewnie myśliwiec nadawał się teraz do generalnego remontu.

- Tak jest, dowódco. - Głos Daga jak rzadko kiedy przepełniała skrucha.

Na pulpicie łączności zamigotała czerwona kontrolka. Jednocześnie monitor błysnął ostrzegawczym napisem.

- Mamy wiadomość z bazy - ogłosił Tori, przełączając kanały radiowe. - Pilną. Słuchajcie!

Przez trzaski i szumy przedarł się wyraźny głos kapitana Stobba. Mówił powoli i wyraźnie, akcentując każde słowo:

- Grupa Toros! Natychmiast wracajcie do bazy! Powtarzam, natychmiast wracajcie! Jesteśmy atakowani! Liczy się każda chwila!

\* \* \* \* \*



Wyszli ze skoku blisko bazy. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegli, był czarny smukły kształt o poszarpanych krawędziach. Wokół niego uwijało się kilkanaście małych punktów, błyskających od czasu do czasu niebieskim światłem. Ekranu skanerów zaślniły czerwono.

- O w mordę... - jęknął Dagmar. - Go to jest?

- Fregata upadłych. Pokazywali nam to na kursie - włączył się Tod.

- Aha. I stado myśliwców - dodał Tori. - Patrzcie! Gdzieś ze śródkręcia fregaty błysnęła czerwona smuga, mknąc w stronę asteroidu poniżej. Jej trafieniu towarzyszył jasny błysk i nagły trzask w słuchawkach.

- Ciężkie działo laserowe... - Tym razem jęk Dagmara był jeszcze płaczliwszy.

- Do roboty, chłopaki! Zdejmijmy przynajmniej kilku, zanim się do nas dobiorą. - Tori uaktywnił działko. - Lecimy trójką. Osłaniacie mnie obaj.

- O ile się da...

- Lepiej, żeby się dało, Dag!

Trzy myśliwce rzuciły się w stronę atakowanej bazy. Przemknęły pod kadłubem fregaty, nabierając prędkości. Planetoida rosła w oczach.

- Mam jeszcze trzy rakiety - zameldował Dagmar.

- To użyj ich i dołącz do nas! - Tori namierzył jeden z myśliwców upadłych. Zaczął zmniejszać dystans.

- Zaraz wracam, chłopaki! - Maszyna Dagmara zmieniła kurs i oddaliła się błyskawicznie.

Czarny kadłub przeciwnika z zakrzywionymi ku dziobowi skrzydłami był coraz bliżej. Tori wzięął poprawkę i nacisnął spust. Działko plunęło pociskami, trafiając w ogon. Tod również posłał serię, ale chybił. Cała trójka zwinęła się w szaleńczym tańcu uników. Tori kątem oka dostrzegł fioletowy kadłub „Smoka”. Elf siedział na ogonie jednemu z upadłych. Tuż pod maszyną Toriego przemknęła rakietka, eksplodując kilometr dalej. Pilot przewrócił się na skrzydło, skracając gwałtownie dystans do ściganego myśliwca.

Celnie umieszczona salwa oderwała spory kawałek poszycia wrogiej maszyny. Czarny cień wybuchł, rozpadając się na kilka części.

- Dwa z tyłu - zameldował Tod. - Idą szybko.

- Znasz „ósemkę”? - zapytał Tori wchodząc w zakosy.

- W teorii...

- Dobra. Ty w lewo, ja w prawo! - Przechylił się błyskawicznie w ciasnej pętli. Nie wiadomo skąd pojawił się nagle przed jego dziobem myśliwiec wroga. Odruchowo nacisnął spust działka. Mijając czarną maszynę widział, jak pociski przebijają jej kabinę, eksplodując w hełmie pilota, podobnym nieco do tego, którego używał Aeleaniril. Trwało to zaledwie moment, przeciwnik zniknął mu z oczu tak szybko, jak się pojawił. Dokończył „ósemkę”. Spostrzegł, że Tod uciekał przed dwoma myśliwcami, wykonując karkołomne ewolucje. Nagle jeden z nich skrzył ku powierzchni planetoidy i wybuchł, trafiony rakieta. Tori zajął się drugim.

- Trzymaj się, młody! Już jestem! - Dagmar pojawił się znikąd, dołączając do Toriego. Razem udało im się przepłoszyć prześladowcę Toda.

- Jak sytuacja? - Tori powoli zbliżał się do młodego pilota.

- Ciężko. - Dagmar nie tryskał optymizmem. - Zaatakowali ponad dwudziestką. Nasi klepią ich równo, ale i tak jest trzech na jednego.

- Ilu jest naszych?

Zamiast odpowiedzi w słuchawkach głośno trzasnęło. Jednocześnie maszyna Dagmara rozpadła się na kilkanaście fragmentów, trafiona zieloną serią.

- Daaaag! - Imię przyjaciela ledwie przecisnęło się przez gardło Toriego. - Dag! Jesteś tam?

Wiedział, że nie. Ale przez długą chwilę nie mógł zrozumieć, że jego skrzydłowy zginął. Tak po prostu. Ocuciły go dopiero serie, śmigające wokół jego myśliwca. Wykonał pół uniku, nagle zmieniając kurs. Udało mu się zmylić wroga jedynie na krótką chwilę. Zielone smugi ponownie zatańczyły nad jego kabiną.

- Ja ci kurwa... - Wszedł w szybki korkociąg, przyśpieszając do maksimum. Na chwilę pociemniało mu w oczach. Kiedy odzyskał wzrok, jego maszyna koziołkowała bezwładnie w stronę fregaty upadłych. Udało mu się oderwać od przeciwnika, przynajmniej na chwilę. Zobaczył czarny cień, zbliżający się z lewej. Na burcie miał wymalowany na biało dziwaczny kształt, przypominający nakładające się spirale. Tori na chwilę włączył dopalacze, uciekając z linii strzału. Następnie przewracając się przez plecy siadł na ogonie wroga. Pilot upadłych był dobry. Reagował niewiarygodnie szybko.

- Chodź tu, bydlaku, chodź... - sapnął Tori starając się nie zgubić celu. Pot zaczął służyć mu po skroniach. Nie widział nic oprócz czerwonych wylotów dysz czarnego myśliwca. Reagował jak automat, błyskawicznie zmieniając kierunek lotu. Przemknęli nad lądowiskiem, pełnym teraz kraterów i pęknięć. Runęli w przestrzeń, zakosami. Chwilę później pędzili ku kadłubowi fregaty, z której po raz kolejny pomknęła czerwona smuga, trafiając jedną z anten na powierzchni asteroidu.

Tori poczuł, że przeciwnik coraz wolniej manewruje. Z satysfakcją przymierzył się i nacisnął spust.

- Aaaaaaaa... ! - wrzasnął, kiedy pociski z działka zaczęły orać poszycie czarnego myśliwca. Upadły skręcił w lewo, ale Tori bez trudu namierzył go ponownie. Druga seria weszła w całości w okolice silnika. Mimo to maszyna wroga nadal starała się manewrować.

No co jest? Nieśmiertelny jaki, czy co? - Trzecia salwa ledwo dotknęła celu, ale to wystarczyło. Tori minął gasnące pozostałości myśliwca.

Zawrócił w stronę asteroidu. Wykorzystał chwilę, by przełączyć radio na kanał bazy. Niemal od razu usłyszał głos Stobba.

- ...wysłało transportowiec. Będziemy się ewakuować. Niech wszystkie myśliwce czekają na start promu i eskortują go do punktu skoku...

Tori pokiwał głową.

Ewakuacja. Czy oznaczało to utratę bazy? Dostrzegł „Smoka”. Elfi statek krążył nad lądowiskiem wraz z dwoma pozostałymi myśliwcami. Tori rozpoznał ich numery burtowe.

Bogis i Tod.

Miał szczęście chłopak.

Cztery maszyny utworzyły krąg nad zgłiszczami. Upadli wycofali swe myśliwce i tylko raz po raz błyskało działo laserowe fregaty ostrzeliwujące bazę.

- Miło cię widzieć, poruczniku Tori. - W słuchawkach zabrzmiał śpiewny głos Aeleantrila.

- Dobrze, że żyjesz, elfie - westchnął pilot.

- Nie udało się obronić bazy. Wiesz, że zaatakowali cały układ? Pozostałe posterunki również się ewakuują...

- A co z kopalniami? Tam są ludzie...

- Wydaje mi się, że nie zapomnieli o nich, ale kapitan Stobb nic nie mówił na ten temat.

W tym momencie odezwał się dowódca bazy.

- Jesteśmy gotowi do startu. Osłaniajcie nas, chłopcy.

Tori zauważył otwierające się wrota jednego z hangarów. Wyłonił się z nich obły kształt promu. Statek natychmiast przyśpieszył, nabierając wysokości. Niemalże w tej samej chwili wewnątrz bazy eksplodowało, zapadając się. Kilkutonowe drzwi hangarów wyleciały z szyn, wieżyczki jeszcze niedawno strzelających dział poprzewracały się, ostatni maszt antenowy runął na powierzchnię asteroidu.

- No to koniec - odezwał się Bogis.

- Jeszcze nie. Znowu nadlatują. - Aeleantril przyśpieszył.

Na ekranie skanera zabłysło osiem punktów, odrywających się od czerwonej kreski. Trzy myśliwce Dominium ciasno otoczyły oddalający się od planetoidy wahadłowiec, ale ich piloci wiedzieli, że nie zdążą bezpiecznie uciec. Byli zbyt blisko. Maszyny upadłych mogły wykorzystać pole wahadłowca do skoku i pojawić się tuż za nim po drugiej stronie.

- Kapitanie Stobb, ilu ludzi ma pan na pokładzie? - zapytał elf.

- Raze m ze mną... trzydziestu dwóch.

- Ile czasu potrzeba, żeby pole podgrawitacyjne po waszym skoku zniknęło?

- Nie zdążymy...

- Ile czasu? - Głos aetiree stwardniał.

- Dwie do trzech minut od momentu wejścia wahadłowca. Jeśli upadli zdążą przez ten czas...

- Nie zdążą...

Myśliwiec elfa błysnął silnikami w szerokim skřęcie.

- Alele... Ellea... pieprzony elfie, chyba nie chcesz... ? - Toriemu z zaskoczenia plątał się język.

- Ależ tak, poruczniku. - Głos aetiree znów stał się wesoły i pogodny. - Pamiętasz naszą rozmowę?

- A...ale dlaczego w ten sposób? Nie dasz rady pokonać ich wszystkich!

- Wiem. Nie mam czasu ci tego tłumaczyć. Zresztą pewnie i tak byś nie zrozumiał...

- Aeleantrilu, zastanów się jeszcze. - Stobb włączył się do rozmowy.

- Nie ma potrzeby, kapitanie.

„Smok” pomknął z powrotem ku fregacie i zbliżającym się myśliwcom upadłych. Błękitne światła jego silników malały z każdą chwilą. Tori obserwował oddalającego się aetiree. Usłyszał w słuchawkach głos nawigatora promu.

- Do skoku dziesięć sekund. Dziewięć... osiem...

W monotonne odliczanie wdarły się dziwne słowa, wymawiane w elfim języku.

- Sześć... pięć...

- Towarzyszyła im melodia, wesoła i smutna zarazem.

- Trzy... dwa...

Aeleandril śpiewał. Nikt z zebranych na pokładach ludzi nie rozumiał słów, ale wszyscy wiedzieli, o czym była ta pieśń.

Pożegnalna pieśń elfa.

**Cezary Czyżewski**